



Mirosław Derecki

HORROR I TRĄBKA

Panie Redaktorze!...

„Kniaź przytulił krasawicę okręcając na dłoni ogromny płowy warkocz - Ech, wiesz o tym, że wojenna służba nie drużba! (...) Z daleka zaczęła się nieść wzrastająca wrzawa; z wielogłosowego krzyku wykwitła pieśń i już dosłyszalne były jej słowa: „Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja...” To Leszek Czarny następował - proszę pana - aby odbić Lublin zajęty przez księcia Halickiego. Brzękały litaury, surmy grały, krew się lała strumieniami, rznęli się woje, miecze zgrzytały o kości, miasto płonęło jak pochodnia. Wreszcie ksiązę Halicki ustąpił, uwożąc ze sobą (z dobrowoli) najpiękniejszą dziewczynę nadbystrzyckiego grodu - Luboczkę. Przy dźwięku trąb!

Rzecz działa się ok. 1282 r., jak się dowiedziałem z krwawej legendy „Święty dąb”, wydrukowanej ku pocieszeniu serc w 1946 roku w „Sztandarze Ludu”.

I tak chciałem zacząć materiał okolicznościowy o mroźnych krew w żyłach historyjkach z przeszłości Lublina. Proszę zwrócić uwagę, że już początek sugeruje wydarzenia nader okrutne i wstrętne. Pomijając samą sprawę rzezi i przelewania bratniej krwi, cóż za odrażająca postać – z punktu widzenia patriotycznego - owa Luboczka. Niby miła, krasawica, ale - renegatka! Zaprzedała się zaborcy (na pewno zdradza niejedną lubelską tajemnicę) i spokojnie czeka w jego objęciach aż pobratymcy wyrzną się co do jednego!

Sęk w tym, że w pewnym momencie pomieszała mi szyki - surma bojowa. Czyli trąbka. Rzecz znamienna, iż trąbka i trębacz zajmują w historii Lublina (więc i w tym artykule) miejsce szczególne. Wszystko tu krąży wokół trąby i do trębacza się sprowadza. Więc i u progu dziejów Lublina nagle zagrały mi surmy, a książęta pod świętym dębem - zamiast walczyć - stanęli i polali wodę na miecze!

„Stój na chwilę, którykolwiek
ku ostatniej scenie
I smutnej tragedii przybyw
w podziwienie!
I ty, co nad mym karkiem ostrze
wisisz stali,

Stój trochę nim się głowa z szyje
mojej zwali!”

To jest „Mowa ostatnia umierającej przez miecz Jadwigi z Kolbuszowa w Lublinie dekretem trybunalskim pokonanej r. 1681”. Minęło czterysta lat od chwili krwawej rozprawy dwóch kniaziów. Oto na rynku lubelskim ścinają bigamistkę Jadwigę. (Wszystko opisał wierszem Jan Gawiński, ale drukiem rzecz ukazała się dopiero w połowie XIX w.). Sprawa sławnej awanturnicy ciągnęła się przed lubelskim Trybunałem przez kilka lat. Jadwiga zaczęła od zwykłej pasterki, potem wyszła za mąż za kozaka Bartosza Zatorskiego, od którego szybko uciekła do Krakowa; podróżowała zresztą po wielu miastach Polski „wdzięki swe sprzedając”. Miała jeszcze trzech mężów, sami panowie szlachta (w tym jeden szesnastoletni, Stanisław Rupniewski), trafiła aż na dwór cesarski w Wiedniu, zgarnęła niezłą fortunę, mężowie umierali jak na zawołanie, gdy wtem... zjawia się pierwszy prawowity poniechany mąż, ów kozak Zatorski i oskarża wyrodną niewiastę o bigamię i cudzołóstwo. A cudzołóstwa się, Panie Redaktorze, w Lublinie nie tolerowało! Bicie żony uchodziło w oczach rajców miejskich za rzecz normalną, ale wara od cudzego łoża! Mówi o tym „Prawo Małżeńskie dla praktyki miejskiej lubelskiej w XVII w.” (aut. Janusz Riabinin). „Żona dała mężowi obiad i nie chciała z nim jescz, on jej wołał: Jadwigo, pódz do mnie, a ona nie chciała; wtem poszedł do komory, wzięwszy stryczek i wezbrał jej onym stryczkiem. Ona potem uczeła do sąsiady Piotrowej. Piotrowa mówiła jej: o miła Jadwigo, pódźże do męża; nie nowinacz to, że mąż żonę bije; obojeście młodzi, trzeba się wam przyuczać”.

W danym wypadku rajcy miejscy byli tego samego zdania, co Piotrowa. Jeżeli jednak mąż biął żonę systematycznie i mocno, skazywali go na karcer. Ale w wypadku zdrady małżeńskiej nie było żartów. Jeżeli kogoś „na tym sprośnym i niewstydlwym uczynku” przyłapano dawał gardło, „aby takowe rzeczy na potym się nie działy”. W 1641 r. sąd wójtowski ławniczy skazał na ścięcie Simona Pictora i jego konkubinę, wdowę. Miała ona z mężem ośmioro dzieci, zaś po jego śmierci również ośmioro dzieci z Pictorem. Autor pracy, z której zaczerpnąłem tę wiadomość, stwierdza z humorem, że rajcy miejscy dość długo upewniali się w winie wdowy... Nic dziwnego, że dla biednej Jadwigi z Kolbuszowa nie było ratunku. I oto - rynek pełen gawiedzi, kat stoi ze wzniesionym mieczem, a nieszczęsna odzywa się w te słowa:

„Już mi zegarek dociekł, a cień
tylko gadam
Tobie duchu mieszkanie z ciała
wypowiadam:
Tnij mieczu! Ty o twórcu, jedyną
czci moi

Miejsce pokutujących daj gdzie

wierni Twoi!!”

Wtem z wieży krakowskiej rozlega się hejnał, i najprawdopodobniej ...wszyscy zwracają się w kierunku, skąd płyną dźwięki trąbki. Lublinianie bowiem uwielbiali swoich trębaczy, a w prawdziwą ekstazę wprawiała ich melodia hejnału. (Piszę to na podstawie prasy codziennej, więc chyba się nie mylę). Tak wyglądał kulminacyjny i najbardziej tragiczny moment w życiu ambitnej awanturnicy: miecz spada ze świstem, spada głowa, a nikt nie zdążył tego zauważyć!

Podobnie z czarownicami. Mieliśmy ich sporo - zwłaszcza w XVII stuleciu. Na przykład taka Regina Sokołowska. Jej sprawa toczyła się w latach 1661-1662. „Przed poślubieniem męża swego sprawiała się ona niepocziwie, nie podług panieńskiego stanu swego, miała z nim porozumienie i z pomocą danego jej napoju pozbyła się płodu. A że Stelmaszek Sokołek nie chciał się z nią żenić, razem z babą Baronową paliła sznurek ze spodnich męskich rzeczy żeby „zaczarować chłopą”. Skazano ją na turtury z aplikacją ognia , a następnie na spalenie na stosie”.

Albo, w 1680 r., żyła sobie w Lublinie Katarzyna Karwatowa, którą nazywano czarownicą, a nawet wytoczono jej sprawę sądową, bo „posyłała syna swego pod szubienicę, aby powrozy zbierał tych, które odpadają z szubienicy od złodziejów”. Wcześniej, w 1647 r., Annę Swedyczką oskarżoną o udział w nasłaniu diabła, spalono żywcem na stosie. Rzecz dziwna: o ile rajcowie byli nieprzejednani w sprawach cudzołóstwa z osobnikami z krwi i kości, o tyle zupełnie postępowi - jeśli chodzi o duchy. Wstrętną czarownicę - zboczeńca Baranowską, która była oskarżona o obcowanie z diabłem, w dodatku, jak sama zeznała, pod postacią zmarłego męża - skazano jedynie na karę chłosty.

Wszystkie te ponure historie rozweselają zawsze wdzięczne dźwięki trąbki, przy pomocy której miejski trębacz zwoływał ludność, aby obwieścić wiadomość o kolejnym auto da fe.

Wielkim wydarzeniem w sferach kościelnych i muzycznych Lublina pod koniec XVII wieku było zawarte 13 maja 1686 roku porozumienie pomiędzy bractwem muzyków polnych wojskowych w Koronie Polskiej i Wielkim Księstwie Litewskim a doktorem św. teologii, ks. Damaszenem Jankulońskim, przeorem klasztoru dominikańskiego, w sprawie odprawiania cztery razy w roku żałobnej mszy z muzyką za zmarłych członków bractwa. „Za którą to dobroczynność - stwierdza specjalny dokument - my pp. muzycy wojskowi, a osobliwie w tym przesławnym mieście Lublinie p. Jan Kwiatkowski trębacz na wieży mieszkający, a po tym successorowie jego, podejmujemy

święta niżej napisane u wielebnych ojców dominikanów w kościele lubelskim trąbić i z temi, który na ten czas będący podczas bytności świątobliwego Trybunału, po trzy złote tylko

biorąc, za każdym trąbieniem od wiel. imci X. Promotora, a dobosz groszy piętnaście w te święta”.

Oczywiście trębacz Jan Kwiatkowski chętnie przystał na wymienione warunki, gdyż bractwo muzyków zobowiązało się „za prace jego w te święta u oo. Dominikanów” przyjmując go do praw i godności nadanych bractwu przez króla jego mości.

Trębacz został więc zweryfikowany, przyjęty do związku twórczego i od tego momentu rozpoczyna się dynamiczny rozwój trębactwa wieżowego w Lublinie. Stare zabobony i okrutne praktyki, dla których trębacz był jedynie tłem, odchodzą w przeszłość, na pierwszy plan wysuwa się trąbienie z Bramy Krakowskiej i związane z tym problemy. Trębacz zaczyna również pełnić ważną rolę w rozwoju lubelskiej prasy. W okresach posuchy, co kilka lat, pojawiają się na jej łamach artykułiki pod znamienymi tytułami: „Trębacz z Bramy Krakowskiej”, „Jeszcze o trębaczku z krakowskiej wieży”, „Wspomnienie o trębaczku” itd. Co tężsi lubelscy dziennikarze ostrzyli swe pióra właśnie na trębaczach i trąbieniu.

Dlatego i niżej podpisany dał się ponieść ogólnemu prądowi.

Bardzo dokładnie opisał trębacza z pierwszej połowy XIX w. brat kompozytora Henryka Wieniawskiego - Juliusz. Trębacza miejskiego zalicza autor do najbardziej oryginalnych ówczesnych typów lubelskich. Pisze w pamiętniku:

„...Zamieszkiwał on jak puszczyk wierzchołek starożytnej wieży krakowskiej, obwiedziony dokoła ganeczkami, z których całe miasto, a raczej jego dachy, widział, jak na dłoni (...) Ilekroć słup czarnego dymu wzbił się z komina zwiastując początek pożaru, trębacz spuszczał zegar wieżowy tj. nastawiał dzwon zegarowy w sposób taki, że bił on prawie bez końca, a przynajmniej tak długo póki się czern ludu i stróżów domostw u podnóża wieży nie zebrała. Wtedy trębacz raz jeszcze zatrąbił na alarm i, wzięwszy w ręce ogromną tubę, ogłaszał (...) w którym domu ogień się ukazał (...)

- Na Czwartku się, pali się! - wołał trębacz.

- Gdzie? - pytali ulicznicy, radzi głos tubalny raz jeszcze usłyszeć.

- Na Czwartku się, pali się! - wołał po raz drugi, a gdy dalej sprzeciwiający mu się ulicznicy interpelowali, zniecierpliwiony huknął czasem przez tubę frazes tak dokładny, tak mało cenzuralny, że kucharki i młodsze, zatykając uszy, rozbiegały się w różne strony, ku prawdziwej uciechu uliczników czyhających tylko na ów frazes.”

Pod koniec XIX w. trębacze znikli z Bramy Krakowskiej; zaczęli grać hejnał dopiero w 1938 r. W latach 1944-47 grywał hejnał ogniomistrz Saburyn, a po odnowieniu Bramy w latach pięćdziesiątych - Aleksander Tchorzewski.

W 1954 r. kolejny dziennikarz, zajmujący się sprawą trębacza, nawoływał: „Dobrze by (...) było gdyby Wydział Kultury Prezydium MRN - inicjator wznowienia tej pięknej tradycji,

pomyślał również o zainstalowaniu głośnika wzmacniającego dźwięki instrumentu, tak, aby można było usłyszeć go nie tylko w pobliżu Bramy Krakowskiej”.

Z dziennikarzem zgodzono się i ...w ogóle zlikwidowano i strażaka i stary zegar, a na ich miejsce założono głośniki i magnetofon.

Oto cała historia. Właściwie jeszcze nie: w kwietniu bieżącego roku około godziny 23 nowy elektryczny zegar na Bramie Krakowskiej zaczął bić i bił bez przerwy przez kilka godzin. Mieszkańcy Starego Miasta odchodzili od zmysłów. Wezwano milicję i straż ogniową, ale szalejącego magnetofonu nie można było poskromić, bo Brama była zamknięta a nikt nie wiedział, gdzie mieszka posiadacz klucza. Musiano aż obudzić samego wiceprzewodniczącego J. Lichodziejewskiego, który dopiero wydał specjalne polecenie odcięcia Bramy Krakowskiej od dopływu prądu.

I tutaj, Panie Redaktorze, zamyka nam się pętla tematu „Horror i trąbka”. Była to okrutna zemsta całych pokoleń trębaczy na ojcach miasta za zbytne uleganie nowinkom no i ma się rozumieć w związku z 650-leciem Lublina.

Pierwodruk: „Kamena”, 1967, nr 10, s. 12.